

Nieuznawanie długu publicznego

Autor: Murray N. Rothbard

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: Mateusz Benedyk

Wiosną 1981 roku konserwatywni Republikanie w Izbie Reprezentantów mieli niewesołe miny. Rewolucja Reagana, która miała doprowadzić do drastycznych cięć podatków i wydatków oraz do zrównoważonego budżetu, rozpoczęła się bowiem od prośby Białego Domu i partyjnych liderów o podniesienie limitu długu publicznego, niebezpiecznie zbliżającego się do ustawowej granicy biliona dolarów. Wspomniani Republikanie byli niezadowoleni, ponieważ całe życie głosowali przeciwko zwiększaniu długu publicznego, a teraz ich własna partia i ruch, którego byli częścią, oczekiwali od nich zdrady swoich ideałów. Biały Dom i kierownictwo partii zapewniali, że to odstępstwo będzie ostatnim, że trzeba po raz ostatni podnieść limit zadłużenia, by prezydent Reagan mógł w przyszłości zrównoważyć budżet i rozpocząć redukcję długu. Wielu Republikanów z ciężkim sercem oświadczyło, że poprze propozycję zwiększenia limitu zadłużenia, ponieważ są przekonani, iż prezydent nie zawiedzie ich w przyszłości.

Prorocze słowa. W pewnym sensie zwolennicy Reagana mieli rację: nie było już łez i narzekań, bo szybko zapomniano o samych zasadach, wyrzucając je na śmietnik historii. Deficyty i dług publiczny wzrosły do astronomicznych kwot od 1981 r., lecz niewielu się tym przejmuje, a już konserwatywni Republikanie chyba najmniej. Co kilka lat limit zadłużenia jest automatycznie podnoszony. Zanim rządy Reagana dobiegły końca, zadłużenie rządu federalnego wzrosło do 2.6 biliona dolarów, obecnie wynosi już 3.5 biliona i gwałtownie rośnie [na koniec 2009 roku dług był szacowany na 12.3 biliona — przyp. tłum.]. I tak jest to optymistyczny obraz, nie uwzględnia bowiem pozabudżetowych gwarancji kredytowych i przyszłych zobowiązań. Jeśli je wliczymy, to dług będzie równy 20 bilionom dolarów.

Przed Reaganem konserwatyści mieli jasne poglądy na deficyty i dług publiczny: zrównoważony budżet był uważany za dobry a deficyty i dług publiczny za złe. Winą za długi obarczano rozrzutnych Keynesistów i socjalistów,

którzy głosili absurdalne twierdzenia o nieszkodliwości długu. Apostoł „funkcjonalnych finansów”, lewicowy Keynesista, profesor Abba Lerner stwierdził w słynnych słowach, że nie ma nic złego w długu publicznym, gdyż „to my jesteśmy dłużnikami samych siebie”. Konserwatyści byli kiedyś na tyle bystrzy, by dostrzec, że istnieje ogromna różnica, czy jest się członkiem grupy nazwanej „my” (podatnicy), czy grupy „samych siebie” (żyjący z transferów podatkowych).

Jednak od czasów Reagana rzeczywistość polityczno-intelektualna stała się znacznie bardziej skomplikowana. Konserwatyści i rzekomi wolnorynkowi ekonomiści stawali na głowie, chcąc znaleźć nowe dowody na to, że „deficyty nie mają znaczenia” i że powinniśmy zrelaksować się i cieszyć obecną sytuacją. Najbardziej niedorzecznym argumentem Reaganomistów było twierdzenie, że nie trzeba martwić się rosnącym długiem, gdyż w bilansie rządu federalnego rosną jednocześnie „aktywa”. Tak właśnie wyglądało najnowsze spaczenie wolnorynkowej makroekonomii: stan rzeczy jest zadowalający, bo wartość rządowych aktywów rośnie. Czemu więc nie znacjonalizować wszystkich aktywów? Reaganomiści ogłosili wszelkie możliwe argumenty na poparcie długu publicznego z wyjątkiem sentencji Abby Lenera. Sądzę, że nie powtórzyli tej słynnej frazy tylko z powodu eksplozji ilości długu będącego w rękach zagranicznych inwestorów. Nawet jeśli pominiemy zagranicznych posiadaczy długu, to coraz trudniej obronić tezę Lenera. W późnych latach trzydziestych, kiedy sformułowano tę koncepcję, odsetki od długu publicznego wynosiły miliard dolarów. Obecnie wynoszą już 200 miliardów i stanowią trzeci co do wielkości wydatek w federalnym budżecie, po wojsku i ubezpieczeniach społecznych. Zatem „my” wygląda coraz nędzniej w porównaniu do „samych siebie”.

Jeśli chcemy rozsądnie myśleć o długu publicznym, to musimy najpierw przeanalizować istotę transakcji dłużnych. Załóżmy, że mamy do czynienia z operacją kredytową, w ramach której wierzyciel C przekazuje pewną sumę pieniędzy (powiedzmy 1 000 dolarów) dłużnikowi D w zamian za obietnicę, iż D w ciągu roku odda C pożyczoną sumę powiększoną o odsetki. Jeśli strony ustalą wysokość odsetek na 10%, to dłużnik zobowiązuje się zapłacić w ciągu roku 1 100 dolarów wierzycielowi. Spłata tej kwoty kończy transakcję, która w przeciwieństwie do typowego kontraktu kupna-sprzedaży rozciąga się w czasie.

Jak na razie jasne jest, że nie ma nic złego w istnieniu prywatnego długu. Tak jak w przypadku każdej wymiany na rynku obie strony zyskują a żadna nie

traci. Przypuśćmy jednak, że dłużnik jest głupcem, który bierze na siebie zobowiązanie przekraczające jego możliwości i nie może w wyznaczonym terminie spłacić obiecanej kwoty. Cóż, takie ryzyko związane z długiem rzeczywiście istnieje i oczywiście lepiej, by dłużnicy nie zaciągali zobowiązań wyższych niż są w stanie uregulować. Nie jest to jednak problem samego długu. Każdy konsument może wydawać pieniądze w głupi sposób. Mężczyzna może wydać całą pensję na drogą błyskotkę a potem nie być w stanie wykarmić rodziny. Bezmyślność konsumentów nie jest zatem wyłącznie problemem długów. Istnieje jednak ważna różnica: jeśli ktoś nie może spłacić długu, stratę ponosi wierzyciel, ponieważ dłużnik nie oddał własności pożyczkodawcy. Dłużnik, który nie spłaci 1 100 dolarów kredytu w oczywisty sposób kradnie własność wierzyciela; nie mamy tu do czynienia ze zwykłym złamaniem przyrzeczenia, jest to przypadek karalnego czynu, agresji wobec własności drugiej osoby.

We wcześniejszych stuleciach niespłacanie długu było poważnym przewinieniem. Jeśli wierzyciel nie „wybaczył” wielkodusznie dłużnikowi, to ten ostatni był winien pożyczoną sumą powiększoną o ustalony procent oraz o karne odsetki za okres niespłacania. Dłużników wtrącano nawet do więzień, dopóki nie zapłacili wymaganej kwoty — rozwiązanie dość drakońskie, lecz idące we właściwym kierunku przestrzegania praw własności i świętości umów. Takie rozwiązanie stwarzało oczywiście poważną trudność, ponieważ w więzieniu trudniej zarobić jakieś pieniądze. Być może lepiej byłoby pozwolić dłużnikom zostać na wolności, pod warunkiem, że ich dochody przeznaczane byłyby na pokrycie długów.

Jednak w XVII wieku rządy zaczęły lamentować nad losem stadka nieszczęsnych dłużników, ignorując fakt, że nierzetelni kredytobiorcy sami wpakowali się w kłopoty, i odeszły od swej rzekomej funkcji strażnika kontraktów. Wprowadzono prawo o bankructwie, które zwiększyło ochronę dłużników przed wierzycielami. Kredytodawcom coraz trudniej było odzyskać swoją własność. Kradzież traktowano coraz bardziej pobłażliwie, subsydiowano lekkomyślność a do oszczędności zniechęcano. Po wprowadzeniu rozwiązań rozdziału 11. w ramach Bankruptcy Reform Act w 1978 r. nieefektywni i niezapobiegliwi menedżerowie i akcjonariusze nie tylko uwalniają się od żądań wierzycieli, ale także często zachowują swoją władzę i pozostają niezadłużeni. Będąc wciąż na czele spółek, gnębią konsumentów i kredytodawców swoim

nieodpowiedzialnym zachowaniem. Współcześni utylitarni, neoklasycyjni ekonomiści nie widzą niczego złego w takich rozwiązaniach; rynek przecież dostosuje się do zmian w prawie. Rynek może dostosować się do prawie wszystkiego, ale co z tego? Podkopywanie pozycji kredytodawców podnosi na stałe stopy procentowe, tak dla zapobiegliwych i uczciwych, jak i dla lekkomyślnych. Dlaczego ci pierwsi mieliby subsydiować tych drugich? Utylitarne podejście stwarza jeszcze poważniejsze problemy. Ci sami ekonomiści propagowali równie amoralne twierdzenia, że nie ma nic złego w rosnącej przestępczości skierowanej przeciwko mieszkańcom i sklepikarzom w centrach miast. Według tych ekonomistów rynek dostosuje się do wysokiej przestępczości – czynsze i ceny nieruchomości spadną. Wszystko będzie zatem w porządku. Jakie wspaniałe pocieszenie! Jakie cudowne uzasadnienie dla agresji i przestępczości!

W sprawiedliwym społeczeństwie jedynie dobrowolne darowanie długu przez wierzyciela uwalnia od zobowiązania; z kolei prawo upadłościowe jest niesprawiedliwym naruszeniem praw własności kredytodawców.

Jednym z mitów związanych z łagodzeniem losu dłużników jest przekonanie o biedzie kredytobiorców i bogactwie kredytodawców. W takim przypadku troska o dłużników to po prostu wymóg egalitarnie pojmowanej sprawiedliwości. Powyższe założenie jest błędne: w świecie biznesu im ktoś bogatszy, tym zapewne większym jest dłużnikiem. Długi Donaldów Trumpów i Robertów Maxwellów są wyższe niż ich aktywa. Na rzecz wprowadzenia interwencji wspomagającej dłużników lobbował przeważnie wielki biznes z wielkimi długami. We współczesnych korporacjach efektem rozrostu prawa upadłościowego było pogorszenie pozycji wierzycieli-posiadaczy obligacji na rzecz akcjonariuszy i menedżerów, którzy zwykle pochodzą z nominacji i są w sojuszu z kilkoma dominującymi akcjonariuszami. Sam fakt niewypłacalności korporacji wskazuje na brak pozytywnych wyników pracy menedżerów oraz na konieczność zwolnienia kadry zarządzającej firmą. Prawo upadłościowe, które przedłuża rządy istniejącej ekipy, nie tylko narusza prawa własności wierzycieli, lecz szkodzi także konsumentom i całej gospodarce poprzez powstrzymywanie rynkowych procesów oczyszczających system ekonomiczny z nieefektywnych i lekkomyślnych menedżerów i akcjonariuszy, a także poprzez przedłużanie transferu własności przemysłowych aktywów do rąk bardziej wydajnych

kredytodawców. Okazuje się, że sytuacja jest jeszcze gorsza. W niedawnym artykule prawniczym Bradley i Rosenzweig pokazali, że także akcjonariusze stracili sporo aktywów pod wpływem wprowadzenia rozdziału 11. w 1978 r. Wspomniani autorzy piszą: „jeśli zarówno posiadacze obligacji, jak i akcjonariusze, są stratni z powodu wprowadzenia rozdziału 11., to kto na tych regulacjach korzysta?”. Okazuje się, że korzyści z istnienia prawa upadłościowego czerpią niewydajni menedżerowie oraz prawnicy, księgowi i doradcy finansowi zarabiający krocie przy reorganizacji związanej z upadłością.

W gospodarce wolnorynkowej, gdzie szanuje się prawa własności, poziom zadłużenia jest ograniczany przez konieczność spłaty zobowiązań, jako że żaden paternalistyczny rząd nie uwolni nikogo od ciężarów długu. Stopa procentowa, według której naliczane są odsetki, zależy nie tylko od społecznej stopy preferencji czasowej, lecz także od poziomu ryzyka, jakie dłużnik stwarza dla kredytodawcy. Jeśli ryzyko pożyczania danej osobie lub spółce jest małe, to stopa procentowa będzie relatywnie niska. Ktoś niezapobiegliwy lub mający za sobą historię bankructwa będzie musiał płacić wyższe odsetki, proporcjonalnie do wysokości ryzyka.

Niestety, większość stosuje podobną analizę względem długu publicznego. Skoro świętość umów powinna być zasadą rządzącą prywatnym długiem, to czyż nie powinna rządzić również publicznym? Czy odnośnie długu publicznego nie należy stosować tych samych zasad, co odnośnie prywatnego? Odpowiedź brzmi: „nie”, choć może to wielu szokować. Trzeba jednak pamiętać, że wspomniane dwie formy transakcji dłużnych znacznie się różnią. Jeśli pożyczam pieniądze z banku pod hipotekę, zobowiązuję się w umowie do transferu moich pieniędzy na rachunek wierzyciela w przyszłości. Wierzyciel jest prawdziwym właścicielem przyrzeczonych pieniędzy w przyszłości, niespłacenie długu będzie kradzieżą. Kiedy pieniądze pożyczają rządy, nie obiecują własnych pieniędzy, ich własne zasoby nie są zastawem. Rządy nie angażują własnego życia, majątku i honoru spłacając dług — one angażują nasze zasoby. Mamy tu do czynienia z zupełnie inną transakcją.

W przeciwieństwie do reszty społeczeństwa rząd nie sprzedaje dóbr i usług, zatem nie zarabia. Może uzyskać pieniądze jedynie w drodze zawłaszczania naszych zasobów poprzez podatki lub poprzez inflację, czyli rodzaj zalegalizowanego fałszerstwa. Istnieją oczywiście wyjątki, takie jak sprzedaż

znaczków kolekcjonerom lub niewydajne dostarczanie poczty. Większość przychodów rządu czerpią jednak z opodatkowania lub z monetarnych manipulacji. W czasach monarchii, zwłaszcza w średniowieczu, przed powstaniem nowożytnego państwa, lwiał część przychodów król czerpał z własnych posiadłości — lasów lub pól uprawnych. Ich dług był tym samym bardziej prywatny niż publiczny, czego skutkiem był znikomy rozmiar zadłużenia w porównaniu z sumami, jakie osiągane są od późnego XVII wieku.

Transakcje zaciągania długu publicznego i prywatnego znacznie się zatem różnią. Zamiast sytuacji, w której wierzyciel o niskiej preferencji czasowej wymienia pieniądze na przyrzeczenie spłaty w przyszłości złożone przez dłużnika z wysoką preferencją czasową, rząd otrzymuje pieniądze od kredytodawców a obie strony transakcji wiedzą, że pieniądze na spłatę długu będą pochodziły nie z kieszeni lub zaskórniaków polityków i biurokratów, lecz z grabieży portfeli i torebek nieszczęsnych podatników, poddanych władzy państwa. Rząd uzyskuje pieniądze za pomocą wymuszenia — podatku; kredytujący władzę nie są bynajmniej niewinni, wiedzą, że ich przychody będą pochodziły z takiego właśnie wymuszenia. Kredytodawcy państwa przekazują pieniądze rządowi, żeby móc wziąć udział w podziale przyszłych łupów z grabieży. Jest to przeciwieństwo wolnego rynku, prawdziwie dobrowolnych transakcji. Strony układają się co do przyszłego współuczestnictwa w naruszaniu praw własności innych ludzi. Obie strony zawierają kontrakty dotyczące własności innych ludzi i obie powinny tego procederu zaprzestać. Kontrakt zaciągnięcia długu publicznego nie jest prawidłową umową. Taki kontrakt nie różni się zbyt od umowy pomiędzy złodziejami rozdzielającymi łupy jeszcze przed dokonaniem kradzieży.

Przedstawianie długu publicznego jako identycznego z prywatnym musi opierać się na absurdalnym założeniu o dobrowolności podatków i wyobrażeniu rządu jako instytucji realizującej naszą wolę. Te wygodne mity zostały dowcipnie i skutecznie obnażone przez znakomitego ekonomistę Josepha Schumpetera: „Teoria, wedle której podatki traktuje się analogicznie do składek klubowych lub zakupu ubezpieczenia zdrowotnego, dowodzi znacznego odejścia tej gałęzi nauk społecznych od naukowych nawyków myślowych”. Moralność i użyteczność gospodarcza są zwykle ściśle połączone. Nie miał racji Alexander Hamilton, rzecznik niewielkiej choć potężnej klikki nabywców długu publicznego z Nowego Jorku i Philadelphii, gdy mówił, że dług publiczny jest błogosławieństwem dla

narodu. Coroczny deficyt budżetowy powiększony o wciąż rosnące odsetki płacone od zwiększającego się długu kieruje cenne i rzadkie zasoby z prywatnych oszczędności do bezsensownych rządowych projektów, wypierając tym samym produktywne inwestycje. Ekonomiści związani z rządem, w tym Reaganomiści, sprytnie obchodzą ten zarzut nazywając rządowe wydatki inwestycjami. Tym samym wszystko jest w porządku, bo oszczędności są produktywnie zainwestowane. W rzeczywistości wydatki rządowe można uznać za inwestycje jedynie w Orwellowskim rozumieniu. Rząd wydaje środki w taki sposób, by zaspokoić potrzeby biurokratów, polityków i zależnej od nich klienteli. Wydatki rządowe są więc nie inwestycjami a raczej bezproduktywnymi wydatkami konsumenckimi, zaś o wydatkach decydują nie producenci a pasożytnicza klasa karmiąca się kosztem coraz słabszego sektora prywatnego. Widzimy tutaj, że statystyki nie posiadają bynajmniej naukowego charakteru ani nie są wolne od wartościowania. Sposób, w jaki klasyfikuje się dane o rządowych wydatkach (konsumpcja czy inwestycje), zależy od politycznych filozofii i intuicji klasyfikujących.

Deficyty i eksplozja długu to rosnące i trudne do zniesienia obciążenia dla społeczeństwa i gospodarki. Z powodu deficytów i długu podnoszone są podatki, a zasoby są zabierane prywatnemu sektorowi i przenoszone do pasożytniczego, bezproduktywnego sektora publicznego. Ponadto, kiedy deficyty finansowane są poprzez zwiększenie kredytu bankowego — czyli kreację nowego pieniądza — jest jeszcze gorzej, gdyż inflacja kredytu powoduje trwały wzrost cen oraz uruchamia cykl koniunkturalny.

Dlatego też zwolennicy Jeffersona i Jacksona (którzy wbrew historycznym mitom byli świetnie wykształceni w teorii ekonomii i pieniądza) nienawidzili i przeklinali dług publiczny. Amerykański dług publiczny został spłacony w całości dwukrotnie, raz za rządów Thomasa Jeffersona a drugi raz, i bez wątpienia ostatni, za rządów Andrew Jacksona.

Niestety, spłata długu publicznego wynoszącego 4 biliony dolarów szybko doprowadziłaby kraj do bankructwa. Jakie inne konsekwencje mogłoby mieć nałożenie nowych podatków na kwotę 4 bilionów dolarów! Wydrukowanie 4 bilionów nowych dolarów — w banknotach lub jako kredyt bankowy — byłoby prawie równie szkodliwe. Takie działanie byłoby niezwykle inflacyjenne: ceny wkrótce poszybowałyby wysoko w górę, rujnując wszystkich tych, których

dochody nie rosłyby równie szybko a dolar straciłby sporo na swej wartości. Tak się właśnie dzieje w państwach, które doprowadzają do hiperinflacji. Tak było w Niemczech w 1923 r., tak było potem w wielu innych krajach, zwłaszcza Trzeciego Świata. Jeśli rząd osłabia walutę, by spłacić dług, ceny wzrosną, a dolary, marki lub peso, które dostaną wierzyciele, będą warte znacznie mniej niż dolary czy peso w momencie udzielenia pożyczki. Jeśli Amerykanin nabył obligacje niemieckie na 10 000 marek w 1914 r., to były one warte kilka tysięcy dolarów. Te same 10 000 marek pod koniec 1923 r. nie było warte więcej niż paczka gum do żucia. Inflacja jest zatem nieuczciwą i destrukcyjną metodą pośredniego pozbycia się długu publicznego. Inflacja jest destrukcyjna, ponieważ niszczy walutę, której jednostki i przedsiębiorstwa używają do kalkulacji swoich ekonomicznych decyzji.

Proponuję równie drastyczną, lecz znacznie mniej destrukcyjną metodą spłaty długu publicznego w jednym posunięciu: odmowę uznania całego długu. Zastanówcie się nad tym: dlaczego biedni i doświadczeni przez los obywatele Rosji lub Polski lub innych postkomunistycznych państw mieliby być zobowiązani wypełnić transakcje dłużne zawarte przez ich byłych komunistycznych władców? W sytuacji komunizmu niesprawiedliwość jest oczywista: obywatele walczący o wolność i wolnorynkową gospodarkę mają zostać opodatkowani, by spłacić długi zaciągnięte przez poprzednią, zniechęconą klasę rządzącą. Niesprawiedliwość różni się jedynie co do stopnia, jeśli chodzi o „normalny” dług publiczny. Dlaczego bowiem komuniści w Związku Radzieckim mieliby odpowiadać za długi obalonych przez siebie carskich rządów? Dlaczego my, Amerykanie borykający się z dniem codziennym, mamy spłacać długi poprzednich elit rządzących? Jednym z argumentów przeciwko wypłacaniu czarnym odszkodowań za niegdysiejsze niewolnictwo jest fakt, że obecnie żyjący nie byli posiadaczami niewolników. Podobnie my, żyjący, nie braliśmy udziału w transakcjach zaciągania tak przeszłych, jak i obecnych długów przez polityków i biurokratów w Waszyngtonie.

Odmowa uznania długu publicznego jest częścią amerykańskiej tradycji, choć historycy i obywatele zdają się o tym zapominać. Pierwsza fala odmowy uznania długu pojawiła się w latach czterdziestych XIX w., po kryzysach 1837 i 1839 r. Kryzysy te były spowodowane inflacyjną polityką Drugiego Banku Stanów Zjednoczonych kierowanego przez Wigów. Wiele rządów stanowych, zwłaszcza

zdominowanych przez Wigów, wykorzystując inflacyjne otoczenie, znacznie powiększyło rozmiary swego zadłużenia. Pieniądze przeznaczono na roboty publiczne (nazywane eufemistycznie „wewnętrznymi usprawnieniami”) i na tworzenie inflacyjnych banków. Dług zaciągnięty przez stany wzrósł z 26 do 170 milionów dolarów podczas lat trzydziestych XIX w. Większość tych pieniędzy została pożyczona od brytyjskich i holenderskich inwestorów.

Lata czterdzieste, poprzedzone kryzysami, były deflacyjne, więc rządy stanowe musiały spłacać dług w dolarach, które były warte więcej niż te pożyczone. Wiele stanów, wówczas rządzonych już głównie przez Demokratów, poradziło sobie z kryzysem odmawiając uznania długu w całości lub części (zmniejszając wysokość spłat). Pośród 28 amerykańskich stanów w latach czterdziestych XIX w. dziewięć stanów mogło pochwalić się brakiem długu publicznego, jeden stan (Missouri) miał minimalny dług. Spośród pozostałych 18 stanów dziewięć spłacało dług bez żadnych zakłóceń, podczas gdy pozostałe dziewięć (Maryland, Pensylwania, Indiana, Illinois, Michigan, Arkansas, Luizjana, Mississippi i Floryda) odmówiło spłaty części lub całości swoich zobowiązań. Cztery stany nie płaciły przez kilka lat odsetek od długu, podczas gdy pozostałe pięć (Michigan, Mississippi, Arkansas, Luizjana i Floryda) całkowicie i na stałe zaprzestało regulowania zobowiązań z tytułu ogromnego długu publicznego. W wyniku odmowy spłacania długu zrzucono z barków podatników ogromny ciężar.

Oprócz wspomnianego powyżej argumentu o świętości umów, który miałby podważać sensowność nieuznawania długu publicznego, ekonomiści twierdzą, że odmowa spłaty długu będzie katastrofą, bo nikt nigdy nie będzie już chciał pożyczać takiemu rządowi pieniędzy. Rzadko jednak brano pod uwagę słuszność kontrargumentu: dlaczego więcej prywatnego kapitału miałoby zniknąć w budżetach rządowych? To właśnie utrudnienie zaciągania długów w przyszłości jest jednym z najpoważniejszych argumentów za odmową spłaty długu, oznaczałoby to bowiem wyschnięcie jednego z głównych źródeł niszczenia oszczędności obywateli. Chcemy bowiem, by prywatne oszczędności i inwestycje były wysokie oraz by rząd był oszczędny i niewielki. Ludzie mogą wzbogacić się tylko wtedy, gdy ich rząd zbiednieje.

Druga wielka fala odmowy spłaty długu publicznego przez stany miała miejsce na Południu po tym, jak okupacja Północy i tzw. rekonstrukcja dobiegły końca. Osiem południowych stanów (Alabama, Arkansas, Floryda, Luizjana,

Północna Karolina, Południowa Karolina, Tennessee i Virginia) zdecydowało się w późnych latach siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych XIX wieku, kiedy były rządzone przez Demokratów, nie uznawać długu publicznego zaciągniętego w imieniu podatników przez skorumpowane i skłonne do marnotrawstwa, narzucone z zewnątrz rządy radykalnych Republikanów w czasie rekonstrukcji.

Co możemy zrobić dziś? Aktualnie dług federalny wynosi 3.5 biliona dolarów. Około 1.4 biliona dolarów, czyli jakieś 40 procent, jest w posiadaniu różnych agencji rządu federalnego. Nakładanie na obywateli podatków przez jedną gałąź rządu federalnego, by spłacać dług z odsetkami innej gałęzi tegoż rządu, jest niedorzecznością. Anulowanie długu trzymanego przez agencje federalne zaoszczędziłoby podatnikom sporo pieniędzy oraz uchroniło cenne zasoby przed marnotrawstwem. Taki rzekomy dług to tylko księgową fikcją, będącą świetnym uzasadnieniem dla karania podatników. Większość ludzi sądzi, że agencja ubezpieczeń społecznych akumuluje pobierane składki, rozsądnie inwestuje a potem oddaje ubezpieczonym po ukończeniu 65. roku życia. Nic bardziej błędnego. Nie mamy do czynienia z ubezpieczeniem, nie ma żadnych kumulowanych funduszy, w przeciwieństwie do prywatnych ubezpieczeń. Rząd federalny pobiera od młodych osób składki (podatki) na ubezpieczenie społeczne, wydaje je w ramach ogólnych wydatków skarbu państwa, a gdy ktoś kończy 65 lat, nakłada podatki na innych, by spłacać bieżące zobowiązania. Ubezpieczenia społeczne, jedna z najbardziej szanowanych instytucji życia politycznego Stanów Zjednoczonych, jest także największym zagrożeniem dla trwałości systemu. Ubezpieczenia społeczne to jedna wielka piramida finansowa kontrolowana przez rząd federalny. Rzeczywistość jest maskowana nabywaniem obligacji rządowych przez zarządzających systemem ubezpieczeń. Skarb państwa może wydawać wtedy pieniądze, na co tylko zechce. Z kolei posiadanie w księgach systemu ubezpieczeń społecznych obligacji rządowych, pobieranie odsetek od amerykańskich podatników, sprawia, że powstaje złudzenie normalnej działalności ubezpieczeniowej.

Anulowanie obligacji posiadanych przez rządowe agencje zmniejszyłoby dług publiczny o 40 procent. Postulowałbym wyrzeczenie się całego długu, nie zważając na skutki. Natychmiastowy rezultat takiego posunięcia to spadek wydatków rządowych o 200 miliardów dolarów, co oznacza szansę na taką samą redukcję podatków.

Jeśli takie rozwiązanie wydaje się zbyt drakońskie, czemu nie spróbować potraktować rządu jak zwykłego bankruta (zapominamy tu o rozdziale 11.)? Rząd to organizacja, której aktywa można sprzedać i zapłacić wierzycielom (posiadaczom rządowych papierów dłużnych) sumy proporcjonalne do posiadanego długu. Koszt takich transakcji dla podatnika równałby się zeru, a wydatki publiczne spadłyby przecież o 200 miliardów dolarów. Należałoby zobligować rząd Stanów Zjednoczonych do wyzbycia się aktywów na aukcjach i spłaty zobowiązań wobec wierzycieli. Jakie aktywa posiada rząd? Całą masę: od TVA, poprzez ziemię, budynki, aż po pocztę. Ogromną siedzibę CIA w Langley w stanie Virginia można sprzedać za sumę wystarczającą do zakupu mieszkań dla całej siły roboczej wewnątrz obwodnicy Waszyngtonu. Moglibyśmy wyprosić ONZ z terenu USA, przywłaszczyć sobie jej ziemię i budynki, a potem sprzedać je jako miejsce na luksusowe hotele dla bogaczy z wschodniego Manhattanu. Kolejną dobrą stroną takiego bankructwa byłaby masowa prywatyzacja publicznej ziemi, głównie na zachodzie Stanów. Taka kombinacja zaprzestania spłaty zadłużenia i przeprowadzenia prywatyzacji zmniejszyłaby ucisk podatkowy, umożliwiłaby fiskalną równowagę i doprowadziłaby do desocjalizacji kraju.

Żeby osiągnąć te cele trzeba jednak wyzbyć się błędnego mniemania o identyczności publicznego i prywatnego oraz o długu publicznym jako produktywnym kontrakcie dwóch prawowitych właścicieli.